

*Jan GROCHOWSKI*

*Białystok*

## WSPOMNIENIA ŻOŁNIERZA II RZECZYPOSPOLITEJ



*Pan ppor. w st. spocz. Jan Grochowski.  
(fot. chor. Konrad Wygonowski)*

W dwudziestym roku życia zostałem powołany do Wojska Polskiego celem odbycia służby wojskowej. Otrzymałem skierowanie do 3 batalionu saperów w Wilnie. Przed wojskiem ukończyłem szkołę podstawową i chyba to było powodem skierowania mnie do Szkoły Podoficerskiej, która znajdowała się na Górze Zamkowej w Wilnie. Dowódcą szkoły był porucznik Grzybowski, który pochodził z Białegostoku, szefem kompanii był st. sierż. Walery Wieczorek. Pamiętam, że właśnie on w 1935 roku zdobył mistrzostwo Wojska Polskiego w X-cio boju wojskowym. Moim dowódcą plutonu był plutonowy Kulik.

Szkoła podoficerska liczyła około 120 żołnierzy. Dzień szkoleniowy rozpoczynał się o godz. szóstej. W czasie zajęć uczyliśmy się teoretycznych podstaw budowy mostów wykorzystywanych w wojsku i w cywilu. Poznałem jak buduje się mosty pontonowe, polowe oraz różnego rodzaju kładki przez wąskie rzeczki, kanały, których było dużo na terenie województwa wileńskiego. W czasie zajęć praktycznych wszystkie czynności wykonywaliśmy ręcznie, aby poznać od podstaw budowę mostu. Najpierw wycinka drzew z lasu później ciosanie belek, robienie klamer oraz innych części metalowych do spinania przęsła. Jak ciężka jest to praca to tylko może saper powiedzieć. Po przygotowaniu elementów przystępowaliśmy do

ustawiania mostu. Podczas budowy mostów pontonowych wykorzystywane były łodzie drewniane tzw. „Pychówki” oraz pontony metalowe z wiosłami. Dopiero w Korpusie Ochrony Pogranicza 1938 roku zetknąłem się z pontonami wyposażonymi w silniki spalinowe typu „fiat” służące do napędu pontonu. Podczas szkolenia z ministerstwa czy zapór inżynierskich wszystkie zajęcia odbywały się w terenie na poligonie. Uczyliśmy się budować i pokonywać przesieki, obliczać i zakładać ładunki materiałów wybuchowych różnymi sposobami. Wyszadzaliśmy skały, szyny kolejowe i drewno. Zajęcia te prowadził osobiście dowódca szkoły lub dowódca plutonu.

W czasie szkolenia dość często odbywały się zawody pomiędzy pododdziałami. Rywalizacja ta pozwalała przełożonym na sprawdzenie naszych umiejętności wojskowych i sportowych. Zawody takie polegały na odbyciu marszu z pełnym oporządzeniem na odcinku 10 kilometrów, w czasie którego odbywaliśmy strzelanie do tarcz, pokonywanie przesiek na długości 100 metrów i innych atrakcjach zorganizowanych przez naszych przełożonych. Zakończenie marszu odbywało się w szkole. R a z za razem pierwsze miejsce zajmował nasz pododdział co było ambicją naszego szefa kompanii. Na jednych z zawodów umówiliśmy się, że przegramy. I tak było rzeczywiście. Za ten przegrany marsz - po powrocie do koszar szef wstawił nam tak w kość, że interweniował dowódca szkoły. Sadyistyczne podejście sierżanta Wieczorka doprowadziło do tego, że część plutonu następnego dnia nie mogła wstać. Na szkole przebywałem cały rok.

Pamiętam, że jesienią 1934 roku odbyły się manewry wojskowe, w których brał udział KOP. Kopiści byli oznaczeni czerwonymi szarfami. Właśnie w czasie tych manewrów przełożeni wydali nam ostrą amunicję, a było to podyktowane zaostroszą sytuacją polityczną z Litwą.

W 1935 roku gdy zmarł Marszałek Józef Piłsudski całe Wilno było odświętnie przystrojone. Oczywiście większość prac wykonywali saperzy. Dla mnie największym honorem był to, że w czasie pożegnania Naszego Wodza brałem udział w kompanii honorowej.

Na uroczystości pogrzebowe przybył prezydent Mościcki, którego witałem na dworcu głównym PKP i wraz z dowódcą podtrzymywałem wysiadającego z wagonu kolejowego typu „pulman”.

We wrześniu 1935 roku po zakończeniu szkoły dostałem przydział do Korpusu Ochrony Pogranicza. Formacja ta była traktowana przez nas jako elitarna jednostka wojskowa. Oczywiście zgodnie z moją profesją wojskową skierowany zostałem do saperów, a dokładnie do Samodzielnej Kompanii Saperów w m. Stara Wilejka.

Pododdział ten mieścił się w budynku batalionu i w nim zajmowaliśmy jedno skrzydło. Budynek był murowany dwupiętrowy z dachem płaskim, w kształcie litery „T”.

## Z HISTORII OCHRONY GRANIC

Kompania podlegała pod ppłk Eugeniusz Damrosza. Dowódcą kompanii był kpt. Teodor Engiel, zwany przez nas „Aniołem”. Szefem kompanii był st. sierż. Fabisiak. Dowódcami plutonu st. sierż. Deglał, plut. Maga i plut. NW - nazwiska nie pamiętam. Oprócz nich w kompanii był również kpt. Marcinkowski, który zajmował się wykonywaniem projektów, planów i innych dokumentów związanych ze szkoleniem.

Służba w Starej Wilejce była podobna jak w szkole. Po złożeniu raportu porannego dla dowódcy kompanii rozpoczynały się zajęcia szkoleniowe.

W tym czasie miałem stopień kaprała i niektóre zajęcia prowadziłem osobiście. Oprócz szkolenia żołnierzy, druga część pododdziału pracowała na rzecz społeczeństwa. Brała udział w pracach podczas wydobywania części metalowych z wysadzonych mostów z okresu I wojny światowej oraz pozatapianych drzew dębowych z rzeki Wilejki. W 1937 roku budowaliśmy baraki dla organizacji „Strzelec” w Brasławiu nad jeziorem Drywiaty. W 1938 roku pomagaliśmy przy organizacji Krajowej W y s t a w y Rolniczej. Wykonaliśmy trzy bramy wjazdowe i pawilony, stoiska do sprzedaży artykułów rolniczych, zagrody dla zwierząt oraz scenę dla występów zespołów ludowych. Pomagaliśmy również w budowie i utrzymaniu dróg, gasiliśmy pożary a w czasie żniw pracowaliśmy razem z rolnikami przy zbieraniu plonów.

Z kompanii pamiętam swojego kolegę Józka Karpuszko, był pisarzem szefa kompanii i Stołpca który pochodził z Wileńszczyzny obaj byli u mnie w Białymstoku w 1943 roku pomagałem im dostać się do Warszawy.

Wszystkie zajęcia trwały do godziny 12.00, o tej porze był obiad, a po nim obowiązywała dwu godzinna drzemka poobiednia. Później odbywały się dalej zajęcia i trwały aż do godziny 18.00. W czasie szkolenia zimowego uczyliśmy się głównie teorii ale również poruszania się na nartach. Odbywając marsze 30 kilometrowe.

W celu doskonalenia zawodowego w okresie wiosennym 1938 roku zostałem skierowany na kurs spadochronowy do m. Jabłonnej, gdzie uczyłem się skakać na spadochronach z balonów, a później z samolotów. Drugi etap kursu odbywał się w m. Mokotów i tam właśnie skakaliśmy z samolotów typu R W D - 8 i Fokkera. Dowódcą i naszym instruktorem był kapitan Henryk Hynek. Po zakończeniu dwutygodniowego kursu skierowany zostałem do twierdzy Modlin do Centrum Wyszkozenia Saperów. W Modlinie poznawałem sprzęt mechaniczny będący na wyposażeniu wojsk saperskich. Kurs ten trwał pół roku i po powrocie do macierzystej jednostki odpowiedzialny byłem za sprzęt mechaniczny będący na stanie pododdziału.

W marcu 1939 roku nasza kompania została przeniesiona do Modlina, celem przygotowania terenu na kierunku Prus Wschodnich przed zbliżającą się wojnę z Niemcami. W maju przez dwa tygodnie budowaliśmy most pontonowy przez rzekę Wisłę. Pamiętam, że w czasie budowy było bardzo gorąco i ludność Warszawy opalała się na plaży, a my w czasie tej spiekoty budowaliśmy przeprawę. Oprócz przygotowania przepraw wzmocnialiśmy korony dróg, zakładaliśmy zasieki, przygotowaliśmy również mosty do szybkiego zniszczenia. W tym czasie nie tylko wojsko pracowało, także ludność cywilna była zaangażowana do budowy na przykład okopów strzeleckich. Wszystkie prace inżynierskie prowadzone były w warunkach nocnych natomiast w dzień odpoczywaliśmy.

**1 września 1939** roku zastał mnie w m. Brodnica i tutaj brałem udział w walkach granicznych, a później wycofaliśmy się przez Modlin do Warszawy. W obronie Warszawy brałem udział aż do końca walk. Najgorsze obrazy z kompanii wrześniowej kojarzą mi się z marszem do m. Modlina. Po drodze leżały pozabijane zwierzęta, rozjeżdżone pojazdami samochodowymi konie, nie pochowane ciała ludzkie. Obrazy te widzę do tej pory.

Po kapitulacji Warszawy nasza kompania, z której zostało 30 żołnierzy została wzięta do niewoli. Obóz jeniecki znajdował się w m. Mińska Mazowieckim. W 1941 roku wraz z 11 kolegami uciekliśmy z niego. Wśród nich był pan Rychter, który dzisiaj jest dyrektorem Zakładów Komunalnych w Białymstoku oraz syn leśniczego ze Zwierzyńca, lecz nazwiska nie pamiętam.

Tak zakończyłem swoją służbę w Korpusie Ochrony Pogranicza. Oczywiście z przysięgi nikt mnie nie zwolnił i do dzisiaj czuję się żołnierzem formacji granicznej.

Po ucieczce z obozu jenieckiego powróciłem do Białegostoku. W 1942 roku wstąpiłem do Związku Walki Zbrojnej a jesienią zostałem zaprzysiężony przez por. sap. „Burzę” i przyjąłem pseudonim „Kotwica”. We dwóch kupowaliśmy broń, a szczególnie materiały wybuchowe. Najwięcej udało nam się kupić w m. Czerwonym Borze i stamtąd przewoziliśmy ją ukrytą w słomie, sianie lub w drzewie do Białegostoku. Razem z porucznikiem planowaliśmy, że jak wojna się skończy to razem będziemy budować mosty kolejowe. W transporcie broni często pomagali nam kolejarze, którzy przewozili ukrytą broń w lokomotywie lub wagonach.

W tym czasie mieszkałem w Białymstoku na ulicy Toruńskiej 2 w małym domku z ogródkiem, gospodarzem był pan Butkiewicz, który zajmował pokoje od frontu domu. Właśnie on dość często powiadał mi kto do mnie przychodzi. W moim mieszkaniu przechowywane były dokumenty „Kedywu”, które ukryte były w podwójnym dnie szafki. Odbywały

## Z HISTORII OCHRONY GRANIC

się narady, zebrania, uchwalane były wyroki na donosicieli. Miałem radio wykonane przez mojego szwagra Stanisława Pyrko, którego dość często słuchaliśmy. Oprócz tego przechowywane były materiały wybuchowe w dużej ilości kostki trotylu 200 g. 100 g. I naboje wiertnicze.

To co nauczyłem się w KOP-ie przekazywałem teraz dla młodych członków Armii Krajowej, synów kolejarzy i byłych podoficerów Wojska Polskiego. Oni z wielkim zapałem uczyli się i od razu wdrażali w życie swoje umiejętności zgłaszając się na akcje dywersyjne. Jako ochotnicy wysadzali mosty kolejowe i drogowe.

Na ulicy Warszawskiej mieszkał sierżant pseudonim „As”, który z ramienia organizacji wykonywał wszystkie wyroki w Białymstoku. Pamiętam, że na Makala Górcie w tym czasie zamieszkiwał agent narodowości ukraińskiej i właśnie on wykonał na nim wyrok, chociaż miał obstawę z ośmiu ludzi. Szkoliłem również podchorążych, których przysłali ich ojcowie. Ze słowami: idźcie do tego z KOP-u on młodszy, lepiej wyszkoli. Tak uczyłem dwóch Łanieckich, którzy później zginęli z „Burzą” i inspektorem AK w Czerwonym Borze.

Aby żyć zajmowałem się handlem, kupowałem skórę z której szewc Wacław Sałatowski robił buty „angielki”, a ja je sprzedawałem. Robiłem z dętek od samochodów kalosze do wojskowych, handlowałem czym się dało aby utrzymać rodzinę. W Gettcie pracowałem w fabryce włókienniczej jako konserwator. Z tego powodu, że na mojej zmianie zapaliła się transmisja dyrektor zwolnił mnie z pracy i za karę pracowałem na ulicy Botanicznej. Tam znajdował się obóz karny. W okresie zimy kopaliśmy rowy w glinie na głębokość 2 metrów.

Pamiętam, że w zimie 1943 roku na ulicy Kolejowej dwóch gońców AK rowerami wiozło ulotki. I jak w filmie nie wiadomo kiedy pokazał się patrol żandarmerii „SS”, który chciał ich wylegitymować. Wśród nich był znajomy Choroszczuka, a drugiego nie znałem. Nasi nacisnęli na pedały i zaczęli uciekać, lecz Niemcy otworzyli ogień i jednego z nich trafili. Rannego uciekiniera kolega zawiózł na Antoniuk do Giedrojcia i tam sprowadzili lekarza, który pochodził z Wilna. On później na nich nasłał gestapo. W nocy Niemcy razem z Ukraińcami otoczyli dom i przystąpili do szturm. W domu przebywały w tym czasie cztery osoby. Rozpoczęła się walka, która zakończyła się po skończeniu amunicji. Nasi poddali się. Przewiezieni zostali na Sienkiewicza gdzie znajdowało się gestapo. Siedzieli w celi numer piętnaście. Tej samej nocy Czesław Daniluk powiadomił mnie, że jestem spalony. Do samego rana pomagał mi wynosić wszystkie materiały, broń, radio do kuriera Armii Krajowej młodej dziewczyny mieszkającej na ulicy Małyłowskiej do jej chlewika. Kolega mówił, żebym uciekał. Bałem się, że jak pójdę do lasu to wezmą rodzinę do więzienia i dlatego zostałem.

**14 stycznia 1941 roku** o godzinie 4.00 obudziło nas stukanie do drzwi. Otworzyłem drzwi. Do mieszkania wpadli esesmani z granatami w rękę i pistoletami. Dowodził nimi kapitan gestapo Sztencel. Później się dowiedziałem, że był to Polak z poznańskiego. Wyprowadzili mnie tak jak stałem, a dom przetrzasnęli do góry nogami. Nie ruszyli tylko córki śpiącej w kołysce. Na szczęście tam miałem ukryty pistolet, gdyby znaleźli chyba zabrali by nas wszystkich. Po jednego człowieka przyjechało cztery samochody duże i kilka małych. Szli od ulicy Bema, później Angielską, Młynową i Kochanowskiego łamiąc płoty na przełaj. Aby dotrzeć do nas do domu. Tak zakończyłem służbę w Armii Krajowej.

Okres więzienia to najgorszy etap mojego życia. Po aresztowaniu mnie i przewiezieniu do aresztu na ulicę Sienkiewicza zostałem zamknięty w celi numer czternaście. Przez trzy dni byłem bity i tak jak Niemcy mówili badany. Potem przewieziony zostałem do więzienia na ulicę Bema i siedziałem w celi numer 110. Oprócz mnie w celi przebywali: trzech braci Citko i ich wujek, por. Burza, Ferenz i Grzybowski innych nie znałem, wszystkich nas było około 10 lub 12 osób.

W celi 112 siedział z akcji na Antoniuku Giedrojc wraz z synami i rannym łącznikiem. Badania odbywały się dwa, trzy razy w tygodniu. Pytali mnie co mam wspólnego z Giedrojczami. Stale mówiłem, że nic i ich nie znam. Lecz oni nie wierzyli i mnie bili. Miałem połamane dwa żebra. Często przeprowadzali konfrontacje pytali mnie czy nie znam tych ludzi lub czy ktoś mnie zna. Oczywiście przeprowadzali to ukradkiem wykorzystując szpary w drzwiach lub na korytarzu w czasie marszu. Ci co mówili, że znają się na przykład ze szkoły albo z zabawy wywozili na Grabówkę gdzie byli rozstrzelani przez oprawców. Ja cały czas mówiłem, że nikogo nie znam. Dlatego gestapowcy coraz bardziej wymyślnie stosowali w stosunku do mnie swoje metody. Bili mnie po piętach, a pewnego razu wypuścili na mnie dwa wilczury. Broniełem się rękoma, jednego psa kopnąłem nogą i złapałem za gardło, a drugi ugryzł mnie w rękę. Gestapowcy za to, że się broniełem tak mnie zbili, skopali, że później zostałem wywleczony z izby jak worek kartofli.

Komendantem oddziału kobiecego w więzieniu była pani Jadzia. Mieszkała niedaleko mojej rodziny i właśnie ona przynosiła mi paczki i grypsy od żony. Nie wszyscy Niemcy byli okrutni. Kilka razy stary wachman - wartownik mówił do mnie abym uciekał, bo będą wywozić na rozwałkę do lasu - na Grabówkę. Lecz ja cały czas bałem się o rodzinę i nie uciekałem.

W celi mieliśmy swoje życie - rano śpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze”, a kończyliśmy dzień piosenką „Wszystkie nasze sprawy”. Wszyscy więźniowie w celach gorąco się modlili, bo to była jedyna nadzieja na życie. Niemal regularnie co piątek były rozwałki. Skazanych więźniów wypędzali

## Z HISTORII OCHRONY GRANIC

z samego rana z cel i kazali rozbierać się do naga. Następnie ładowali do samochodów i wywozili poza miasto - na Grabówkę. Jak później się dowiedzieliśmy tam były wykopane przez Żydów doły i tam gestapowcy wraz z Ukraińcami masowo rozstrzelali więźniów strzałem w tył głowy. Wiem, że niektórym rannym udało się uciec wydostając się z zasypanego grobu. O tym fakcie dowiedzieli się również Niemcy i po następnych egzekucjach wszystkie groby były rozjeżdżane przez maszyny inżynierskie. Zawsze z takich akcji Ukraińcy wracali pijani i ze śpiewem na ustach i zachowywali się głośno.

W Wielki Piątek 1944 roku urządzili największą egzekucję. To był czarny piątek. Jak wróciłem z obozu po wojnie do domu żona opowiadała mi, że w czasie mszy na Wielkanoc gdy przemawiał ksiądz proboszcz Chodyko naszej parafii do zebranych to nikt nie słyszał tak wielkiego płaczu, szlochu jaki powstał w kościele. Okupanci w tym dniu zabili setki więźniów.

Moja żona w tym czasie wychowywała dwie córki. Trzyletnią Bożenę i dwuletnią Ewunię, która urodziła się gdy ja byłem w więzieniu. Aby żyć żona sprzedawała z domu co mogła. Ludzie, a szczególnie rolnicy byli bezczelni wykorzystywali jak mogli nieszczęście nasze, a głównie żony. Za sprzedaż futra na przykład dostała parę litrów mleka, śmietany, ziemniaków, mąki i kaszy. Nie patrzyli na to, że zdejmują z siebie i że ta niedola może spotkać ich osobiście. Moja rodzina, żonie nie pomagała. Matka moja mówiła idź z dziećmi przed siebie, bo za tobą szpicle chodzą. Gdy zachorowała młodsza córka stało się nieszczęście. Pewnego razu wpadła rączkami do gorącej wody i rodzice wynieśli ją na dwór, aby uśmierzyć ból. Z zimna dostała dyfterytu i po pewnym czasie umarła. Mój ojciec ją pochował dlatego, że żona chorowała na zapalenie płuc i nic o tym nie wiedziała. Po paru miesiącach starali się wytłumaczyć jak do tego doszło. Naprawdę podziwiam moją żonę. Uważam, że ja przeżywałem swoje wydarzenia fizycznie, lecz żona i to nie tylko moja lecz wszystkie nasze kobiety przyjmowały to bardzo uczuciowo, czyli psychicznie. Potrzeba było wiele czasu aby nasze żony pogodziły się z rzeczywistością. Moja żona była i jest tak silna że sama pokonała trudności losu i również mnie pomogła je pokonać. Na każdym kroku przypominała mi, że jestem żołnierzem KOP-u i muszę być mocny.

W lipcu 1944 roku robiła się napięta atmosfera - zbliżał się front. W więzieniu odbywało się coraz więcej przesłuchań, a szczególnie rozwałek. Na Grabówkę Niemcy wywieźli tych z akcji na Antoniku i dużo innych osób. Rozstrzelania prowadzili cały czas, lecz w tym miesiącu jakby zwiększyli swój limit. Ja zaliczony zostałem do wywiezienia na roboty do Rzeszy i wraz z innymi więźniami załadowany do wagonu kolejowego. Na pewno dzięki pani Jadzi nie zostałem rozstrzelany, a umieszczony

w transporcie do Niemiec. Po wojnie żona mi tłumaczyła, że właśnie ona mówiła jej iż w transporcie jest jakaś możliwość przeżycia. Transport nasz skierowany został do obozu Schtuthof. Wagony były ładowane po 100 więźniów, jechaliśmy głównie nocami przepuszczając transporty wojskowe. Gdy dojechaliśmy do Gdańska okazało się, że front jest bardzo blisko i skierowali nas na Poznań do innego obozu. W wagonach robiliśmy wszystko jedliśmy, piliśmy, załatwialiśmy się i umieraliśmy. Żyliśmy wraz ze śmiercią w jednym wagonie. W końcu - w nocy dotarliśmy do Gross - Rossen. Po rozładunku drogą polną pędzili nas przez las do obozu. Po obu stronach drogi stali kapowie i blokowi, którzy nas poganiali bijąc pałami gdzie popadnie. Na końcu drogi zobaczyliśmy baraki i bramę z napisem „Arbeit macht frei”. Po przekroczeniu bramy, na placu apelowym kazali nam się rozebrać do naga. Wszystkie osobiste rzeczy kazali nam wrzucić do koszy, które były poustawiane na placu. Następnie ogolili nas wszędzie tam gdzie były włosy, nie zwracając uwagi na ostrość brzytwy. Każdy z nas wyglądał jakby wyszedł z rzeźni. Dostaliśmy pasiaki, które dobieraliśmy rozmiarami między sobą. Później otrzymałem numer obozowy 4470, który musiałem naszyć na kurtce na lewej kieszeni. Od tej pory nie miałem imienia ani nazwiska tylko numer. Przydzielony zostałem do bloku, za który odpowiedzialny był Leon - recydywista, a później okazało się że był również sadystą. Bił za byle co. Za każdą nieuwagę, za nie usłyszane komendy, a wreszcie za to, żeby się wyżyć. Pewnego dnia do obozu przyjechali jacyś dygnitarze niemieccy, którzy z obozu zabrali wszystkich mechaników i ślusarzy. W tej grupie znalazłem się i ja. Zawieźli nas do innego obozu Aslau, w którym były zakłady Messerschmitta. Od samego rana piekło rozpoczynało się przy dźwiękach orkiestry. Pracowaliśmy po 12-16 godzin dziennie, po tej ciężkiej pracy zasypialiśmy na stojąco ze zmęczenia. Z takich warunków każdy by uciekł. Często zdarzało się tak, że po pięciu na raz uciekali więźniowie, przecinając druty lub robiąc podkopy pod ogrodzeniem. W czasie zimy 1944 roku za karę, za tych co uciekli z obozu musieliśmy leżeć twarzą do śniegu od rana do południa, kto tylko podniósł głowę został zastrzelony. Po kilku dniach gdy uciekinierów złapano Niemcy robili pokazówkę dla całego obozu. Na oczach wszystkich więźniów bito ich i wykańczano. Zimą co piątek odbywała się kąpiel w baraku na korytarzu. Jeden blok się kąpał, a drugi w tym czasie czekał na dworze na swoją kolej. Aby nie zmarznąć nacieraliśmy ciało śniegiem jeden więzień drugiego więźnia. W bloku tam gdzie mieszkaliśmy spałem na dolnym łóżku przy samych drzwiach. Załatwialiśmy się do beczek stojących na zewnątrz bloku. Najgorzej było w nocy. Kto zdążył dobiec do beczki ten się załatwił. A kto nie to lał na podłogę. Rano jak wstawałem z łóżka to ręką zgarbiałem śnieg z siebie, bo prawie całą noc drzwi były otwarte. Ci co spali dalej od wejścia mieli cieplej, lecz po obudzeniu się chodzili po moczu zrobionym w baraku.



## Z HISTORII OCHRONY GRANIC

Na środku placu apelowego kazali nam wykopać dół szerokości 10 metrów i długości 30 metrów na głębokość 3 metrów. Mówili, że to basen lecz w czasie nalotów wpędzali nas do niego, a wartownicy na górze z automatami pilnowali nas. Najwięcej uciekało więźniów narodowości rosyjskiej. Z tego też powodu kapo i blokowi najbardziej się znęcali nad nimi. Kiedyś przez 5 może 6 godzin kazali wszystkim Rosjanom biegać z workami z piaskiem, a oni ich bili, kopali i tłu kłkijami gdzie popadło. Po tej akcji większość z nich miała powybijane oczy, połamane żebra, nogi i ręce. W taki sposób gestapowcy rękoma blokowych zastraszały więźniów, aby nie uciekać z obozu. Byłem w bloku A2, w którym blokowym był Borys. Całymi dniami wrzeszczał na nas, wyzywał, przeklinał pokazując jaki to jest okrutny, ale nikomu krzywdy nie zrobił. Natomiast w bloku A3 blokowym był inżynier z Krakowa, który mówił chłopaki trzymajmy się razem ja was uratuję i za chwilę łokciem potrafił uderzyć i wybić szczękę.

Taka to była bestia.

Zbliżał się front. Poznaliśmy to po tym, że w halach do bomb ułożonych pod ścianami Niemcy podłączyli lonty przygotowując do wysadzenia. Myśleliśmy, że to już koniec, że w tych halach nas wysadzą i tu nas się pozbędą. Ale na drugi dzień, obóz ruszył w drogę. Pchaliśmy załadowany sprzęt z zakładów i z obozu na wozach w dzień. Na noc zamykali nas w opuszczonych obozach. Nie raz było tak ciasno, że noc spędzaliśmy na stojąco. Rano dostawaliśmy ciepłą kawę, 3 lub 4 ziemniaki w mundurkach i kilka kromek chleba. Szliśmy dziennie 30 -40 kilometrów przez całą Saksonię, Westfalię. Jak przechodziliśmy przez duże miasta na przykład Drezno ludność niemiecka wyzywała nas. Często padały słowa "schwaine polnische banditen", bili brawo, klaskali, cieszyli się z naszej niedoli. Nawet starsi ludzie co już w swoim życiu nie z jednego pieca chleb jedli klaskali i przeklinali na nasz widok. Na drogach było tłoczno jak u nas we wrześniu maszerowało wojsko, ludność cywilna i my. W takim tłoku łatwo się zgubić, korzystali z tego odważniejsi więźniowie i uciekali z kolumny. Początkowo na rannym apelu esesmani zabijali jednego więźnia, ale później rozstrzeliwali trzech za każdego uciekiniera. Pewnego dnia blokowy wytypował mnie i kilku innych do wystąpienia z szeregu, wystąpiłem. Po chwili zamienił mnie na swojego kolegę myśląc, że wytypowani idą do lżejszej pracy i trochę pomoże mu w doli więźnia. Jak się okazało mnie uratował życie, a swojego kolegę posłał na śmierć. Nawet już w ostatnim etapie "Pani Śmierć" zawsze była z nami dając o sobie znać w najmniej oczekiwanej chwili. W czasie marszu wielu naszych obcierało sobie nogi aż do krwi z bólu zostawiali na końcu kolumny. To była ich zguba, właśnie tam maszerował Holender esesman, który maruderów dobijał strzałem w głowę, a ciało kazał wrzucić na wóz, który pchaliśmy. Gdy trafiliśmy w czasie marszu na zagajnik Niemcy ogłaszali przerwę, a blokowi

nakazywali nam kopać dół i wszystkie ciała zabitych zasypać i zamaskować tak żeby śladu nie było.

Po długiej wędrówce doszliśmy do miasteczka Nord Haussen, tam otrzymaliśmy nowe numery identyfikacyjne. Po paru dniach skierowano nas do obozu "Dora" gdzie produkowali Niemcy pociski V-1i V-2. Najgorzej było przeżyć to jeszcze raz (chyba piąty) - znowu golenie, bicie i znęcanie się nowych właścicieli. Pracowaliśmy po 12 godzin w zakładach wykutych w górach Harcu. Z rana, pod dyktando orkiestry, która grała przed bramą obozu braliśmy kostki granitu 10 kilogramowe i z nimi szliśmy około 3 kilometrów do tunelu. Tam układaliśmy przed wejściem w stos i wchodziliśmy do środka skąd wywoziliśmy gruz. Tunele drażone były przez całą dobę, zmieniali się tylko skazani. Rozładowywaliśmy różne materiały przywożone do budowy rakiet. Najgorsza praca była przy rozładunku elementów do rakiet owiniętych w watę szklaną. Tysiące małych igieł wbijało się w ciało, kruszyło powodując pęcherze i gnicie ciała. Nigdy nie widziałem tych co drażyli chodniki oni nie wychodzili na zewnątrz. Tam żyli i tam umierali nie widząc słońca.

Muszę przyznać, że nie ma takich słów aby można było opisać to co przeżyliśmy. Dzisiaj dużo ludzi nie chce w to uwierzyć, co nam robili Niemcy.

W "Dorze" była zbiorowa szubienica na której jak ubrania wisieli skazańcy. Około 30 do 70 więźniów codziennie było powieszonych. Przeważnie za kradzieże spirytusu, który był stosowany do rakiet, a ubytki skazani uzupełniali moczem. Próbuąc przeżyć też prowadziliśmy mały sabotaż okupiony wieloma ofiarami. Nasi kapowie w tym obozie to była śmietanka wszystkich obozów koncentracyjnych w jakich byłem. Bezdzusni zwyrodnialcy, sadyści urodzeni mordercy. Pewnego dnia około godziny 11.00 był ogłoszony alarm i wszystkich nas wypędzili biegiem do obozu.

Zabronili wychodzić z baraków. Po krótkim czasie nadleciały alianckie samoloty, które dopadły kolejkę wąskotorową wjeżdżającą do tunelu. Cały transport wraz załogą został zabity. Druga fala nadlatujących samolotów zaatakowała obóz, który był położony na skraju dużego miasta Nord - Hausse. Kule padały wszędzie, przestraszeni wartownicy uciekali z wież obserwacyjnych pozostawiając obóz bez ochrony. Nadleciała armada samolotów tak, że niebo stało się czarne od nich. Rąbali wszystko co spotkali na drodze - zakłady, osiedla, mosty, stawy. Leciały i leciały, a później nadleciały bombowce B-52. Zrzucili bomby zapalające i to co zostało metal, drewno, ludzi zamienili w piasek i popiół. Nalot skończył się około 17 godziny.

Nasz obóz, miasto i jak również dowiedziałem się później Hamburg został w gruzach. To był największy nalot dywanowy na Niemcy. Po paru

dniach po tym nalocie ruszył pierwszy transport z więźniami w nie znane. Jechaliśmy w wagonach ściśnięci po 100 więźniów. Pilnowani przez wartownika, który strzelał bez ostrzeżenia do każdego który głowę wychylił z wagonu. Transport nie zatrzymywał się jechał cały czas tak jakby chciał gdzieś zdążyć. Pewnego razu przez okno, gdy zwolniliśmy widziałem na drzewach porozrywane pasiaki i zakrwawione strzepy ludzkie. W krótkim czasie dojechaliśmy do Lubeki. Rano zobaczyliśmy morze, siedzieliśmy w wagonie przez pół dnia. Ruszyliśmy dalej i dojechaliśmy do obozu śmierci "Bergen - Belzen". W obozie panował chaos. Tych co Niemcy nie zdążyli potopić w morzu ginęli, umierali w tym obozie. Naszym zajęciem było wyciąganie umarłych z baraków układanie ich w stosy, oblewanie smołą i benzyną i spalanie ich. Po placu snuł się gęsty tłusty dym, dusił w gardle, powodował ból głowy.

Nie pamiętam kiedy, ale w niedzielę nikt nas nie obudził. Po wyjściu z baraku zauważyliśmy, że nie ma blokowych, kapo, wartowników chodziliśmy po placu gdzie kto chciał. Dobraliśmy się do kuchni, magazynów, kopców z ziemniakami z których wybraliśmy ziemniaki i buraki. Po południu jeden z nas zauważył na drodze do obozu kolumnę czołgów.

Zatrzymała się - z pierwszego czołgu wyszedł oficer w mundurze polskim i powiedział "rodacy jesteście wolni". Okazało się, że jest to szpica wojsk alianckich, która pojechała dalej pozostawiając nas samych. Po usłyszeniu takich nowin każdy z nas się cieszył - rzucaliśmy czapki do góry, jeden drugiego całował, ludzie bo również i my nimi byliśmy modlili się z radości i całowali ziemię dziękując za przetrwanie. Po przyjechaniu służb administracyjnych wojsk alianckich lekarze zaopiekowali się nami. Co drugi z nas był chory na tyfus. Po kilku miesiącach opieki niektórzy z nas doszli do zdrowia. Gdy w miejscowości Valen - Bosten powstał obóz wojskowy zgłosiłem się do niego i zostałem przydzielony do kompanii dowodzonej przez porucznika Szymę. Pełniliśmy służbę wartowniczą na zmianę z Anglikami ochraniając magazyny żywnościowe i mundurowe. W Cele na lotnisku 84 Grupy Aliantów powstała grupa służby wartowniczej na dowódcę jej zostałem wyznaczony i za dobre wywiązywanie się z obowiązków zostałem przeniesiony na całe lato 1947 roku do "Zak - Giter" służby naziemnej naprawy samochodów. Znajdowała się ona w szkole spadochronowej byłej "Hitler - Junge". Było nas dziesięciu.

*Przeżyłem i dziękuję losowi za to. Dzisiaj z sentymentem patrzę na zielone otoki strażników, bo to przecież i mój kolor - żołnierza, który przed wojną chronił polskich granic.*

## Z HISTORII OCHRONYGRANIC

Wspomnienia Pana Grochowskiego otrzymaliśmy dzięki mjr Kajetanowi Szczepańskiemu – miłośnikowi i odtwórcy historii przedwojennych formacji granicznych z Bialegostoku, dziękujemy.

Grochowski Jan; Wspomnienia żołnierza II Rzeczypospolitej, Biuletyn Centralnego Ośrodka Szkolenia 1 / 0 1 , Koszalin 2 0 0 1 , s. 1 0 0 – 1 1 1 .